

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wydanie pomnikowe płaskorzeźb kolumny Trajana, z objaśnieniami p. Wilhelm Fröhner, konserwatora pomników w muzeum Luwru. — Ostateczne pytania, położone przez organizatorów kongresu jeograficzno-etnograficznego i statystycznego w Antwerpii. — Konkluzya dzieła p. Quatrefages, co do Darwinizmu i Transformizmu. — Młodość Robespiera, dzieło p. Paris, uwieńczone przez akademię w Donai. — Stan literatury hiszpańskiej w Hiszpanii i w Ameryce Południowej. Błędny sąd publicystów francuzkich w tym przedmiocie. — Pamiętniki Berliosa. — Kilka słów dopełniających zdanie sprawy z Wystawy Sztuk Pięknych w Paryżu. — Konferencya p. Feyrret: Charakterystyka osób zwiedzających wystawę. — Szyller: sprawa o plagiat. Prolekeya Max Müllera. — Uroczystość odkrycia pomnika dla Ponsarda w Vienne.

Zwielkich współczesnych, że tak powiemy, pomnikowych publikacyj francuzkich, na największą uwagę zasługuje dzieło, wychodzące arkuszowemi zeszytami pod nazwą: *Kolumna Trajana* (La Colonne de Trajan). Czekaliśmy z uwiadomieniem o téj publikacyi do czasu, aż będziemy mieć przed oczyma choć kilka początkowych jój zeszytów. Obejrzawszy je, możemy śmiało powiedzieć, że to jest znakomity bardzo przyczynek i do naszych dziejów ojczystych. Któż u nas nie wie, że szczegóły przedstawione na sławnej kolumnie Trajana, są częścią naszą własną historyi; mają bowiem na celu wojny cesarza Trajana z Dakami i ostatnie ich przerzucenie za Karpaty.

Lelewel widzi w historyi Daków historię prawdziwych Słowian; on to u nas upowszechnił wiadomość o kolumnie Trajana, której wzór sam własną ręką odrytował i wydał w dziele: *Narody na ziemiach słowiańskich*. Prace Lelewela w tym wydziale, zgadzają się z poszukiwaniami Augusta Bielowskiego o Lechach Illiryskich, które ogłosił w dziele *Wstęp krytyczny do dziejów Polski*.

Wiemy, że sytem Bielowskiego ma przeciwników. Świeżo ogłoszona rozprawa w rocznikach krakowskich najlepiej to udo-

wadnia. Sądźmy jednak, że jeśli można zaprzeczyć temu lub owemu ustępowi pracy Bielowskiego, trudno odmówić wielkiej wartości głównym jego zasadom. Zasluga jego leży w tém, że utorował zupełnie nową drogę do zbadania naszych podań narodowych, że okazał wysoki pogląd krytyczny, słowem, że nam dał zakosztować owocu głębokiej pracy ducha, pracy, o którą u nas tak trudno. Gdy mowa o tak odległej starożytności, można nie zgadzać się z Bielowskim, należałoby jednak w każdym razie poszanować jego wytrwałość i naukę, szczególnie, kiedy się ocenia dzieło w lat dwadzieścia po jego wyjściu! Przepomniat znać o tém krytyk krakowski.

Co do nas powiedzielibyśmy tylko, że tak Lelewel jak i Bielowski, zanadto wiele przypisują ważności żywiołowi dackiemu w utworzeniu społeczeństwa polskiego. Czytając ich, możnaby wnosić, że kraje przywiślańskie były puste do czasu zaludnienia ich przez Daków, czyli ogólnie mówiąc Illyrów. Tymczasem nie ulega wątpliwości, że w czasie kwitnienia tego ludu nad Dunajem, kraje zakarpackie, a nawet przydnięprzańskie nie były puste ani bezludne; że tu mieszkali także Słowianie, właściwi Lechici, że Illyrowie gdy przeszli za Karpaty, znaleźli tu lud bratni i zleli się z nim ostatecznie w początkach drugiego wieku ery naszój, w skutek wojen Trajana.

Kolumna rzymska znana pod imieniem tego cesarza, przedstawia właśnie emigracyę całego ludu. Gdzie emigrowali Dakowie?—za Karpaty. Zresztą można przeczyć słowiańskiemu pochodzeniu Daków, ale temu przeczyć nie można, że massy emigrantów dackich zmieszały się z nadwiślanami i krwią i duchem. Dla nas dowody, jeżeli nie czysto-słowiańskiego rodzaju, to blizkiego pokrewieństwa Daków ze Słowianami, nie leżą w pojedynczych wyrazach, jakie pokazuje Lelewel, nie leżałyby nawet i w mowie uważanej pod względem materji wyrazów, bo narody zmieniają języki; dla nas dowody owego pokrewieństwa z krwi i z ducha Daków ze Słowianami zakarpackimi, są w tém, że ani podania nasze ludowe, ani świadectwa cudzoziemskie nie zachowały śladu walk, pomiędzy przybyszami a tubylcami w kraju naszym. Przeciwnie mamy dowód łatwego ich zlania się i wspólnego wystąpienia przeciw Germanom. Od czasu przybycia Daków, ludy germańskie (Goci i t. p.) zmuszeni są uciekać od ujścia Wisły za Dunaj i tam pod koniec II wieku ery naszój pokazują się jako zbiegi, wołając do Rzymian: „albo chleba albo śmierci!” jak świadczą pisarze rzymscy. Znają oni przyczynę tego napadu Gotów, zapisali bowiem i to, że ludy germańskie cisną się ku granicom Rzymu, bo ich samych naciskają „*barbarzyńcy północni*.”

Tak jest, pod nazwą barbarzyńców północnych uciskających Germanów, pokazują się Rzymianom ojcowie nasi w II w. t.j. w sześćdziesiąt lat po przetrzuceniu Daków za Karpaty. Odtąd, mianowicie od końca II wieku aż do VII, Lechici opanowali kraje między Odrą a Łabą, zajęli Bohemię i inne kraje na południe Karpat, nie

jako cisi i pokorni rolnicy, ale jako zdobywcy według wyrażenia J. Szafarzyka. Taki początek historii naszej zawdzięczamy Rzymianom, to jest wojnom Rzymian, które zmusiły Daków do ucieczki poza Karpaty. To nam przypomina kolumna Trajana.

W rysunku Lelewela trudno rozpoznać charakterystykę plemion. Skala teraźniejszej publikacji pozwala na takie badania. Jakoż widoczne rysy Słowian w wielu figurach na kolumnie Trajana, szczególnie na arkuszu ryciny pod Nrem 98.

Publikacja francuska bardzo kosztowna, wynosi bowiem 600 franków, ale można nabywać dzieło zeszytami. Przytaczamy krótką przemowę wydawców. Z czasem podamy wyciągi i z ciekawszych wyjaśnień dodawanych do rycin. Autorem tych uczonych wyjaśnień jest p. Wilhelm Fröhner konserwator pomników w wydziale starożytności w muzeum Luwru.

„Kolumna Trajana, mówią wydawcy, ten największy pomnik rzeźby starożytnej, dotąd znany jest bardzo niedokładnie. Różne tego powody. Nie łatwo ogarnąć całość i zrozumieć szczegóły długiego szeregu płaskorzeźb, pokrywających powierzchnię sześciuset blisko metrów. Co więcej, ryciny, jakie dotąd służyły do badań, tak pełne są błędów, że zaledwie dają pojęcie przedmiotu. Pod względem zaś sztuki, stylu, wykonania, a wreszcie pod względem tysiąca szczegółów dotyczących życia domowego starożytnych, jakie tam znajdujemy, musimy wyznać, że dotychczasowe publikacje nie nas prawie nie nauczyły.

Płaskorzeźby kolumny odtworzone były po trzykroć: w wieku XVI przez Gerolamo Muziano (1576), później przez Piotra Santes Bartoli (1672), наконец przez Andrzeja Morell (1752). Jedyny rytownik, zdolny doprowadzić godnie do końca podobne przedsięwzięcie Piranezi, wykonał tylko sam piedestał i zarys ogólnej całości, (1770 roku). Ale dziś wszystkie te publikacje niedostateczne są do gruntownych badań. Sztuka rysowania w duchu starożytnych, nie dawnych sięga czasów. Niegdyś tłumaczono raczej niż kopiowano pomniki, a to do takiego stopnia, że z owych wymianierowanych rycin, trudno nam odgadnąć oryginał. Brak im tej ścisłości matematycznej, tej prawdy, jakiej dziś wymagamy. Mogłaż zresztą reprodukcya być doskonałą, kiedy rytownicy poświęcając rzecz dla formatu, stawiali figury w kierunku poziomym a nie spiralnym, jak są na kolumnie? Musieli więc przemieniać całe grupy. Księga Bartolego, jedyna, jaką cytują zwykle uczeni, nie ma żadnej wartości ani dla sumiennych antykwaryuszów, ani dla prawdziwych artystów. Trzeba ją więc zastąpić wydaniem dokładnem, któreby zadowolniło tak jednych jak i drugich.”

Nową publikację wykonali wydawcy podług wynalazku pana Tessier du Motay. Płaskorzeźby odcisnięte na samejże kolumnie Trajana z rozkazu cesarza Napoleona, i wykonane środkiem galwano-plastycznym, sfotografowane zostały w Luwrze. Klisze przeniesione na miedź, pociągnięte tuszem drukarskim, dają się wybornie odbijać. Skala figur na tablicach zmniejszona tylko do piątej

części wielkości oryginału; tym sposobem można rozpoznać najdrobniejsze szczegóły.

Publikacya cała utworzy pięć wielkich tomów in folio; w tych mieścić się będzie do pięćdziesięciu arkuszy tekstu, poświęconego badaniom historycznym.

Świat naukowy paryżki zajęty w tej chwili kongresami. Jak wiadomo, te zebrania uczonych mają się odbywać po różnych stronach Europy i to w rozmaitych gałęziach wiedzy ludzkiej. Sądzimy że kongresa boloński i antwerpski będą miały najwięcej rozgłosu. Boloński ma na celu badanie nad formacją ziemi i najpierwszemi jej mieszkańcami, gdy tymczasem antwerpski jakkolwiek dotknie i tych przedmiotów, za główne postawił sobie zadanie, rozstrzygnięcie pytań współczesnych, tak w oddziale jeografii i etnografii, jak i w kosmografii, handlu i statystyki.

Mamy właśnie przed sobą ostateczny programat, postawiony przez organizatorów kongresu. Obejmuje on do stu pytań. Oprócz tego jednak, członkowie, którzy zapiszą się na kongres, z przesyłką 10 franków na buletyn, mają prawo zadawać własne pytania, nie stawiając się nawet osobiście, a przyjęcie lub odrzucenie pytań ma rozstrzygać biuro centralne, które się zorganizuje na pierwszemi posiedzeniu. W skład tego buira, oprócz osób wybranych w imieniu samój nauki, wchodzić będą reprezentanci każdej narodowości. Jestto gwarancya moralna co do przeprowadzenia rzeczy na kongresie.

Oto niektóre pytania ostatniego programatu:

Jakie są najlepsze środki uauczania jeografii w szkolnych zakładach, tak elementarnych jak i wyższych?

Czy obojętność niektórych ludów do handlu z krajami odległemi, pochodzi jedynie z braku wiadomości jeograficznych?

Czyby kongres nie powinien ustalić jednéj pisowni imion własnych tak na mappach, jak i w książkach poświęconych jeografii?

Jakie są prawa naturalne, ekonomiczne i historyczne, przewodniczące tworzeniu się i rozrzuconiu jeograficznemu miast? Co spowodowało ich wzrost i upadek? Wskazać starożytnie i nowożytnie miasta, wykazujące działalność tychże praw.

Czy nie należałoby porozumieć się co do przyjęcia jednego głównego południka?

Czy można otrzymać dokładny opis ruchu wód w wielkich rzekach?

Jakim sposobem przyjść do utworzenia jednego centrum, któreby łączyło wszystkie wiadomości, dotyczące jeografii, starając się o ich wyjaśnienie krytyczne i o ich publikacyą?

Czyby rządy nie zgodziły się na ustalenie budżetu europejskiego, w celu wspierania podróży eksploracyjnych?

Oznaczyć wpływ pary, telegrafu elektrycznego i ważnych postępów w budowlach marynarskich, na stosunki narodu z narodem.

Jakim sposobem przyjść do jednego prawodawstwa bandlowego i marynarskiego?

Czy nie możnaby porozumieć się co do przyjęcia wspólnych miar i wag, i jednej monety?

Czy wypada starać się o ustalenie jednego języka w stosunkach międzynarodowych?

Jak dojść do powszechnej statystyki?

Czy księżyc wpływa na stan meteorologiczny globu?

Jak zebrać materyały, któreby służyły do oznaczenia na kartach, średniej długości życia ludzkiego w różnych miejscowościach, jak nie mniej różnicy liczebnej ludności na rozmaitych przestrzeniach kuli ziemskiej, z ocenieniem wydatków potrzebnych na życie?

Jak oznaczyć postęp głównych języków europejskich, w ich dążnościach do zastąpienia innych, używanych przez tubylców, tak w Europie jak w Azji?

Czy można ocenić stopnie wyższości i niższości pomiędzy plemionami ludzkimi?

Jaki jest dziś podział jeograficzny plemion ludzkich, i jakie dążności niektórych ras do zastąpienia innych?

Opuszczamy pozostałe pytania. Chcieliśmy tylko przytoczeniem niektórych pokazać ważność pierwszego kongresu międzynarodowego, który ma na celu jeografię, kosmografię, etnografię i statystykę.

Uprowadzając rozprawy kongresu Bolońskiego, p. Quatrefages wydał dzieło: *Darwin i jego poprzednicy francuscy. Badania nad transformizmem*. Jest to zbiór artykułów drukowanych w *Przeglądzie dwóch światów*, dopełniony nowymi, bardzo ważnymi spostrzeżeniami autora. Dzieło to, jak mówiliśmy dawniej, zapowiedziane w Towarzystwie Antropologiczném, niecierpliwie było oczekiwane. Ciekawém jest ostatnie słowo znakomitego profesora antropologii, w przedmiocie tak żywo dziś obchodzącym naukę. P. Quatrefages nie weźmie osobiście udziału w kongresie Bolońskim, jedzie bowiem do Antwerpii; głos jego przecież będzie tam słyszany i roztrząsany.

Podajemy w skróceniu ostatni ustęp charakteryzujący początek sporu i rozmaite jego przejęścia.

„Rozbierając teoryje transformizmu, mówi autor, musimy powiedzieć, w jaki sposób zastosowywano je do historii naszego rodu.

„Tym którzy przyjmują nagłe przemiany, łatwo bardzo wytłumaczyć zjawienie się człowieka wpośród innych żyjących istot.

Ale sama łatwość rozwiązywania podobnego problemu, nakazuje mieć się na baczności. We wszystkich doktrynach, odnoszących się do tej zasady, transformacja może wydawać nagle istoty odmienne od tych, z których się rodzą, a to tak dalece odmienne, że tworzą nawet osobne klasy. W zastosowaniu do człowieka, ta zasada przypuszcza pochodzenie jego bądź od zwierząt ssących, bądź od ptaka, gadu, albo ryby.

„Nie wchodząc w dalsze rozumowania. powiem tylko, że ktokolwiek szuka ścisłości naukowej, musi odrzucić tak wątpliwą hipotezę.

„Teorie wychodzące z powolnej transformacji, przedstawiają niejaką stronę korzystną obok wielu niedostatków. Kto przyjął ich zasadę, wytłumaczy tak samo istnienie człowieka, jak istnienie każdego rodzaju zwierzęcia lub rośliny. Lamarq opierając się na potęgze nawyku i na przypadkowych zboczeniach, mógł bardzo loicznie wyprowadzić rodzaj ludzki od małpy antropomorfy. Biorąc szympansa jako najdoskonalszy typ w swoim rodzaju, ukazuje go niższym od człowieka pod względem budowy ciała i stopnia intelligencji; a potem zapytuje coby było, gdyby rasa wyrodzona z tego pnia utraciła nałóg wspinania się na drzewo? Nie ma wątpliwości, odpowiada, że, potomkowie po kilku generacjach musieliby zamienić się w dwuręcznych. Chęć oglądania szerszego widnokregu, nadałaby im postawę stojącą. Żeby ich nie używane już jako kleszcze do czepiania się gałęzi, ani też jako broń odporna zeszyłyby do rozmiaru naszych zębów. Lamarq nie mówi wprawdzie, o ile nowe nawyki wydoskonaliłyby mózg tych przetworzonych szympansov, a tém samém nadałyby im niezaprzeczone panowanie nad innemi. Przypuszcza tylko tę wyższość, a zarazem wykazuje rozwój stopniowy tych małp pół-ludzi, które doskonaląc się coraz bardziej, miały niby przerodzić się w człowieka.

Lamarq więc czyni małpę naszym protoplastą. Mniemanie powszechne przyznaje taką opinię i Darwinowi. Tymczasem uczony angielski nie powiedział nigdy nic podobnego. Co więcej, taki sposób pojmowania rzeczy, przeciwnym jest jego doktrynie. Darwin wyprowadza rodzaj ludzki z ogniska życia powszechnego; lecz daje człowiekowi osobne całkiem miejsce, nie mieszając go z małpą.

„Oddawna już Vicq d'Azyr, Lawrence, Desmoulins, Serres a po nich Duvernois, Owen, Huxley, Gratiolet i Alix udowodnili nadzwyczajne podobieństwo materiałów anatomicznych w człowieku i małpie; z ogółu przecież tych badań wykazuje się coraz bardziej różnica celów zrealizowanych temi materiałami. W ciele człowieka i małpy, porównyując kość z kością, mięsień z mięsień, nerw z nerwem, rozpoznajemy też same żywioły. Lecz harmonijna całość ich tak urządzona, że usposabia człowieka do chodzenia po ziemi, małpę zaś do wspinania się na drzewa. Goryl i szympansa, te antropomorfy, o których tyle mówiono, wyższe są

niewątpliwie od swych braci cynocefalów; jakkolwiek jednak wydoskonalone pod pewnemi względami, nie zmieniły typu zasadniczego, i nie mogą w ewolucyi Darwińskiej być poprzednikami istot chodzących. Przypuściwszy, żeby kiedyś nawet dorównały ludziom w inteligencji, nie mogłyby chodzić tak jak oni.

„Wykazałem oddawna, że doktryna Darwina loicznie zastosowana do typu ludzkiego, prowadzi co najwięcej do uważania człowieka i antropomorfę, za ostateczne krańce dwóch osobnych gałęzi. Do téjże konkluzyi przyszli poważniejsi Darwiniści, którzy w pierwszej chwili gotowi byli przypuścić pochodzenie człowieka od małpy.

„Zdaje się, że Filipi przyjmował zrazu taki początek; w końcu jednak przyszedł do innych wniosków. Karol Vogt w prelekcjach swoich o człowieku, skłaniał się niemniej do hipotezy małpiego początku, lecz i on niemniej powrócił do wyobrażeń wprost przeciwnych. W rozprawie nadzwyczaj ważnej, uwiecznionej przez Towarzystwo antropologiczne, objawia wyraźnie myśl swoją. „Możemy znaleźć, mówi on, formy pośrednie pomiędzy małpami dzisiejszemi, to nam przecież nie da odpowiedzi na pytanie, jakie nam kładzie geneza rodu ludzkiego... Możemy znaleźć typy kołpalne, więcej zbliżone do człowieka, niżeli do naszych małp antropomorfów, takim np. jest dygoptek opisany i odrysowany przez pana Lartet. Nie idzie za tem, abyśmy tu widzieli ogniwo historyczne formacyi człowieka”.

„Vogt znajduje wprawdzie w mózgach małej objętości, dotkniętych *mikrocefalią* powtórzenie się przez *attawizm* dawnego kierunku, który mógł być normalnym u pewnej części naszych odwiecznych przodków; tym sposobem zastosowuje do naszego rodzaju jedną z tych licznych hipotez, do których otworzył pole Darwin, a które ja opuściłem, ponieważ nie sięgają do gruntu samejże doktryny. Widoczna jednak, że odnosząc początek człowieka po za czas pojawienia się małpy, uznając iż nie odkryto żadnego ogniwa, któreby łączyło ten punkt wyjścia nieokreślony z dzisiejszym stanem, sławny professor genewski stawia doktrynę swoją na stanowisku domysłów, nie podlegających rozumowaniu.

„Ani Lubbock, ani téż Wallas, owi najzagorzalsi darwiniści, nie śmieli nawet wspomnieć o téj istocie tajemniczej, której prawnuki miały się stać ludźmi. Żaden z nich nie mówi o małpie. Sam Huxley, którego okoliczności i szlachetne pobudki pociągnęły dalej, niż sięgał myślą, oświadcza dwukrotnie, że między człowiekiem a małpą jest przepaść niepodobna do zapełnienia.

„Słowem, ci wszyscy prawdziwi uczeni zrozumieli dobrze, nawet w pośród żarliwej polemiki, jaką niektórzy z nich prowadzili, że pochodzenie człowieka od małpy, niemożliwe pod żadnym względem (inacceptable), przeciwném jest szczególnież teoryi Darwina.

„Zkądże powstała opinia powszechna, podług której Darwin widzi w człowieku wnuka małpy? Jakim sposobem ludzie

oświeceni, a nawet niektórzy z uczonych czynią hipotezę, zupełnie przeciwną Darwinowi, którego przecież uznają mistrzem swoim? Odpowiedź na to łatwa. Bo i tu zapaśnicy dogmatyzmu i antidogmatyzmu wzięli za pozór do walki pytanie czysto naukowe, i wystąpili na polu niedokładnie im znaném.

„Kłótnia zaczęła się na posiedzeniu Towarzystwa Brytańskiego w Oxfordzie. Lord biskup tego miasta wystąpił ostro przeciwko ideom Darwina. On pierwszy powiedział, że teoria selekcji naturalnej doprowadza do wniosku, że jesteśmy potomkami jakiejś dzisiejszej małpy. Żart sarkastyczny lorda biskupa, obraził Huxleya. Ten osobisty przyjaciel Darwina, występując w jego obronie, podjął rękawicę nierozważnie rzuconą. „Gdybym miał wybierać, rzekł—wolałbym być synem pokorniej małpy, niż człowiekiem, który nauki wymowy używa na wyszydzenie tych, co zużyli życie w poszukiwaniu prawdy.” Później Vogt poszedł dalej jeszcze, oświadczając, że lepiej być wydoskonaloną małpą, niż upadłym Adamem.

„Nic dziwnego, że wielu źle zrozumiało pytanie postawione od razu w taki sposób, i że czuło się w obowiązku potępić Darwina, lub też przyklasnąć mu napamięć. Jedni bronili na tém polu swych wierzeń religijnych, drudzy bronili filozofii. Rzeczywiście zaś uczony angielski nie dotykał nigdy pytania co do początku człowieka. Zaledwie że w jego pismach znajdujemy dwie lub trzy pobieżne alluzje, rzucone mimochodem, co do możliwości zastosowania teorii ogólnych, do tego szczegółowego problemu.

„Jeżeli kiedykolwiek Darwin zechce wyjść z ogólników i podejść z bliska ten przedmiot, możemy liczyć na pracę ciekawą, dowodzącą rozległej nauki i przenikliwego umysłu. Ale możemy niemniej być pewni, że i sam mistrz upadnie, jak upadli uczniowie jego, że tak u Darwina jak u Vogta i z tychże samych powodów, całe rozumowanie czém inném być nie może, jak prostą hipotezą.”

Pod tytułem *Młodość Robespiera*, pan Parys adwokat wydał dzieło, które zwróciło uwagę nie tylko Akademii miejscowej, ale i historyków, jak niemniej ogółu czytelników francuskich. W małym zakresie poruszył on do żywego najdrażliwsze zagadnienia, dotyczące się początku wielkiej rewolucji. Dzieło jego należy do tych, które mają na celu bronić śmiało imienia narodowego. Z godną poszanowania odwagą powstaje autor przeciwko całej szkole, która usiłuje przeistoczyć pojęcia o moralności, podnosząc do apoteozy najokropniejsze zboczenia wielkiego przewrotu. Imię Robespiera jest po dziś dzień sztandarem owiej szkoły. Jéj zwolennicy przedstawiają go jako męczennika, nakazują cześć go jako bożyszcze. Pan Parys oddał wielką przysługę narodowi swemu, wykazując tak zgubne dążenia, które niestety wkradają się już i do książek, przeznaczonych dla szkolnej młodzieży.

Opuszczamy stronę moralną dzieła, odpowiadającą potrzebom miejscowym, a zatrzymamy się jedynie na niektórych szczegółach, dotyczących młodości sławnego promotora terroryzmu.

Autor rozpatruje życie Robespiera od kolebki, mówi o jego rodzinie, która lubo niezamożna, szczytała się jednak szlacheckim pochodzeniem i używała herbów. Z Artois podąży do Paryża z jedenastoletnim Maksymilianem, który znalazł pomieszczenie bezpłatne w kolegium *Louis le Grand*; następnie ukazuje go w szkołach wyższych, później jeszcze u krated sądowych w Artois, i tak doprowadza go do czasu pamiętnych wyborów 1789 roku. Na tém autor kończy historią młodości Robespiera.

Posłuchajmy, co mówi o wstąpieniu chłopca do kolegium:

„Dziwnie to przeznaczenie! drogo stare społeczeństwo nasze przypłacić miało swoje dobrodziejstwa. Przed rokiem siostra Robespiera otrzymała bezpłatne miejsce w zakładzie powstałym z dobroczynnych funduszów. Teraz młody Maxymilian zapewnione ma wychowanie, dzięki opactwu St. Vaast!

„Wiadomo, jak pożytecznie to zamożne opactwo, póki nie było oddane na łup prałatów dworskich, rozporządzało ogromnymi swymi dochodami. Mikołaj Codrelier opat regularny, ufundował w Paryżu roku 1308 bursę, zwaną *kollegium Arrus*. Najzdolniejsi uczniowie z tego miasta, pomieszczeni w owiej bursie, pobierali nauki w uniwersytecie Sorbońskim, tém ognisku światła we Francji. W ośmnastym wieku bursa poczęła upadać; wtedy utworzono z jej funduszów ośm stypendyów przyłączonych do kolegium *Louis le Grand*. Czterema z nich rozporządzał opat St. Vaast.

Niezamożna rodzina Robespierów czyniła usilne zabiegi o otrzymanie takiego stypendyum dla Maxymiliana. Jego ciotki korzystając ze znajomości z kanonikiem katedralnym, poleciły chłopca opatowi *Dom Briois d'Hulluch*. Zabiegi ich uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Z początkiem roku szkolnego 1769—1770, Maxymilian otrzymał stypendyum, i wszedł na ucznia do kolegium *Louis le Grand*.

Młody Robespier uczył się pilnie, postępowanie jego przecieży zasługiwało częstokroć na naganę. Nauka rozwijała w nim wrodzone zdolności, lecz wychowanie nie zdołało rozwinąć w jego sercu zasad moralnych, bez których rozum im wyżej ukształcony, tém niebezpieczniejszemu stać się może narzędziem.

Autor przytacza ciekawy a nieznany szczegół z czasów szkolnych siedemnastoletniego młodzieńca.

Ludwik XVI koronowany, był w Reims 11 lipca 1775 roku. Po odbyciu obrzędzie wraz z królową Maryą Antoniną i książętami krwi odbywał uroczysty wjazd do stolicy. Uniwersytet paryżki zebrał się w całym składzie w gmachu kolegium *Louis le Grand*, aby oddać cześć młodemu monarsze w przejeździe z kościoła katedralnego do kościoła św. Genowefy. Z pomiędzy kilku tysięcy uczniów paryżkich, jednemu przypadł zaszczyt przemó-

wienia do królewskiej pary. Uniwersytet przeznaczył na to młodego Maxymiliana Robespierrea. Kiedy pierwsi dygnitarze ciała naukowego ukończyli swoje mowy, wybrany młodzian podał królowi i królowej w imieniu współuczniów wiersze łacińskie, napisane przez siebie stosownie do okoliczności.

„Byłem obecny temu widowisku—mówi ksiądz Proyard, na którego ręce biskup i kanonicy z Arras przysyłali corocznie do broczyzny datek Robespierrowi. Kaząłem go ubrać aby się przyzwoicie przedstawił. Widzę jeszcze, jak młody król i młodzian królowa spoglądali z tkliwem współczuciem na gadzinę pełzającą u ich stóp.”

I któżby wtedy pomyślał, że ten wybrany młodzieniec, który opiewa chwałę królewskiej pary, który im wróży długie a szczęśliwe lata panowania, stanie się kiedyś głównym sprawcą ich zguby!

Skończywszy nauki w kolegium, Robespierre przechodził czteroletni kurs prawa w uniwersytecie, zawsze jako stypendzysta St. Vaast. Otrzymał wreszcie licencjat w roku 1781, poczem został przyjęty jako adwokat przy parlamencie paryżkim. W końcu tegoż roku powrócił do Arras, i tu postanowił pracować w zawodzie prawnika.

Odtąd nie opuścił rodzinnego miasta aż do chwili, kiedy jako reprezentant stanu trzeciego, udał się do Paryża na słynne Zgromadzenie Narodowe 1789 roku.

Autor bada pilnie życie Robespierrea na prowincyi. Nie wiele czasu młody adwokat przepędza u kratek sądowych. Píše obszernie rozprawy: jedną z nich szczególnież opracowaną poświęca zbijaniu panujących przesądów. Za tę otrzymuje nagrodę akademii z Metz. Drukuje potem pochwałę Karola Dupaty, generalnego adwokata, który popadł w niełaskę dworu, a następnie mianowany był prezydentem Izby przez Ludwika XVIgo. „Miłość dobra powszechnego, mówi Robespierre, nauczyła króla, jak uczy wszystkich monarchów sprawiedliwych, wielkiej sztuki pomieszczenia każdego na odpowiedniem miejscu.”

Mimo powyższego argumentu, już w tej rozprawie, wyraźniej niż w dawniejszych pismach, daje Robespierre poznać właściwy kierunek umysłu swego. Dotąd podnosił aż do liryzmu tron, religię, moralność, wystawiał wszelkie cnoty. Tu już idea rewolucyjna porwa go i wyłączenie panuje nad nim. Upojony pychą, oburza się na uciążliwy i upokarzający obowiązek wdzięczności.

Robespierre pisywał także wiersze, jako członek Towarzystwa *Rosati*. Było to stowarzyszenie nowych Epikurejczyków. Na zebraniach członkowie śpiewali pieśni własnego utworu. Wiersze Robespierrea nie odznaczały się wcale poetycznym talentem.

Akademia w Arras, przez wzgląd na dokonane prace, przyjęła do grona swego, młodego adwokata.

Równie u kratek sądowych, jak na akademickich zebraniach, w dziennikarskiej polemice, jak i w poważniejszych rozprawach,

Robespierre okazuje coraz wydatniej nowy charakter, w jakim ma wkrótce wystąpić na widownię. W codziennj walce ostrzy niejako oręż i zaprawia siły do przyszłych a groźnych zapasów. Szranki otworzą się niebawem, wnet godzina uderzy! Słowo jego ożywia się, zaprawia jadem; uczucia przychodzą do coraz wyższej egzaltacji. Uniesiony pychą, dopatruje cel, do którego ma dążyć. Nakoniec żdziera maskę, otrząsa się z obłudy, pisze namiętną rozprawę, miota potwarze, rozjątrza umysły, podżega nienawiści. Wykazuje wszędzie spiski knute przeciwko ludowi, mieni się jedynym obrońcą uciśnionych; słowem, zapuszcza niewód w odmet zburzonych sumień ludzkich i w tryumfie zdobywa kandydaturę!

W kwietniu 1789 roku Robespierre wychodzi zwycięzko z walki. Mianowano go jednym z pięciu deputowanych miasta. W kilka dni potém na uczcie wyborczj śmiało podnosi sztandar rewolucyjny; zwraca na siebie oczy wszystkich. Tu już pokazuje się, czém będzie dla Francji!

Na tém kończy autor historję młodości Robespierra. Dzieło to zajmujacém jest z wielu względów. Opisując młode lata przyszłego trybuna; biograf dotyka historji politycznej, administracyjnej i sądowej prowincyi Artois, która chlubiła się od wieków swobodami miejscowemi i pilnie przestrzegała swych przywilejów.

W końcu dzieła pan Parys wlepią wzrok w krwawą postać Robespierra, uosabiającą wielki okres rewolucyi, i w kilku rzutach póra kreśli przerażający obraz człowieka, którego odmalował dzieckiem i młodzianem.

„Takito ideał, mówi autor, Robespierre ukazywać się będzie w ciągu pięcioletniego zawodu: na zgromadzeniu prawodawczém (constituante), w klubie Jakobinów w Konwencyi, w Komitecie Bezpieczeństwa publicznego; wszędzie i zawsze będzie on niwelatorem. Tak w Paryżu, jak dawniej w Arras, surowy w obyczajach, nie przedajny, gorliwy pracownik, niezmordowany mówca, odda na posługę rewolucyi umysł ciasny w poglądach, loikę raczej pozorną niż rzeczywistą, charakter silny, nieugiętą wolę. Służyć niższym warstwom społeczeństwa, znaczy podług niego toż samo, co obalić wszelką wyższość. Ponieważ zaprzysiągł bogatemu nieprzebieganą nienawiść, wyobraził sobie, że kocha ubogiego. Jeśli w spełnieniu filantropijnego programu napotka przeciwników, usunie wszystkich z drogi, posyłając ich pod gilotynę. Tym sposobem, nie tylko że uczyni zadosyć własnej pysze i mściwej zawiści, ale jeszcze zaspokoi bojaźń dręczącą go bezustannie. Pełen podejrzliwej nieufności, obwiniać będzie przeciwników trybuny o spisek i zamach stanu. Zadaniem jego życia podejrzawać, oskarżać, podpisywać krwawe wyroki. Odmawiając obwinionemu królowi wszelkiej sprawiedliwości, pokonanym Zyrondystom wszelkiego miłosierdzia, Dantonowi i Desmoulinowi przyjaciołom własnym, wszelkiej litości, postawi Terroryzm jako systemat rządu, a upokorzona Francya zmuszoną będzie znosić despotyzm tego krwi

chciwego retora, aż do dnia, kiedy przebierze się miara zbrodni, kiedy współnicy Robespierra w obawie, aby nie stać się jego łupem, sami wyłączą go z pod prawa. „Historia 9 thermidora nie długa, mówi de Maistre: „kilku zbrodniarzy pomordowało kilku innych zbrodniarzy.”

Dzieło p. Paris uwieńczone zostało na konkursie akademickim w Donai.

Niech nam przebaczą nasi czytelnicy śmiały przeskok z Paryża do Hiszpanii, a ztamtąd dalej jeszcze, bo na drugą świata półkulę do ludów Ameryki Południowej. Powodem takiego przeskoku jest artykuł pana Léger drukowany w tych dniach w Przeglądzie Kursów literackich.

P. Léger tłumacz pieśni czeskich, autor dziełka o Cyryllim i Metodyuszu, wdał się w sprawozdanie o bieżącej literaturze hiszpańskiej. Wnosząc z dwóch artykułów z *Revista di Espana*, których autorowie ubolewają nad stanem uśpienia umysłowego w ojczyźnie swojej, sprawozdawca utyskuje ciężko na upadek literatury w kraju Cerwantesa i Kalderona. Utyskiwanie to, według nas, wcale nie słuszne. Hiszpania pomimo przewrotu społecznego, w jakim żyje od lat kilku, nie przyszła bynajmniej do stanu chorobliwej zastołości, a jeżeli wolno samym Hiszpanom wyrzucać sobie w oczy, że czynią nazbyt mało, czyż wolno obcym chwycić się do rymów słów pierwszego lepszego patryoty-pessimisty, i budować na nich cały systemat, nie zgłębiwszy rzeczy do gruntu?

Oddawna zajmujemy się z upodobaniem literaturą hiszpańską i oceniamy jej wysoką doniosłość nie tylko w przeszłości, ale i w czasie bieżącym. Obawiamy się, aby u nas nie podzielano zdania sprawozdawcy francuzkiego, co do mniemanego upadku tejże literatury. Zresztą podobna niewiadomość u nas, łatwiejszą byłaby do przebaczenia, niż u Francuzów, tak ściśle połączonych z Hiszpanami. Uprzedzając zatem podobny błąd, rzucimy pobieżnie słów kilka w tym przedmiocie.

Literatura hiszpańska, jeżeli dziś nie przyświeca tak słonecznym blaskiem, jak przyświecała w wieku XVI i XVII, daleką jest przecież od upadku. W każdym jej oddziale błyszczą znakomite imiona: w poezyi Espronceda, Zorrilla, Martinez de la Roza, świeżo zmarły książę de Rivas znany pod pseudonimem Saavedry. W powieściopisarstwie Hiszpania bezwątpienia wyżej dziś stoi od Francji, jeżeli weźmiemy utwory nie pod liczbę, ale raczej pod wagę. Dość tu wspomnieć Antonio Truebę, pisarza pełnego prostoty, rzetelności, wdzięku i rodzinnej fantazyi; dość wspomnieć Hartzenbuscha, krytyka i poetę, dramaturga, którego powieść: Kochankowie z Terrnel dał nam poznać w przekładzie K. Estrejcher. Któż wreszcie nie wie o znakomitej powieściopisarce Fernan Caballero, któ-

ra pod względem talentu sami Francuzi słusznie porównyują z Georges Sand, kiedy pod względem dążności społecznych i moralnych, nieskończoną wyższość przyznać musimy Hiszpance.

Pole historii nie leży tu także odgólem; zmarły dopiero Cavanillas pozostawił ważne prace nad dziejami ojczyzny swojej, a obszerna historia literatury hiszpańskiej nad którą pracuje obecnie uczony Amedor de los Rios, należy do najznakomitszych publikacyj tego wieku. Autor zaczyna badania swoje od czasów najdawniejszych i ocenia rzeczy z wysoko krytycznym poglądem. W wydanych dotąd siedmiu tomach, doszedł ledwie do rządów Karola V. Całość obejmuje tomów piętnaście. Pominie wiele innych prac; te które nam nasunęły się same pod pióro, świadczą dostatecznie, że literatura hiszpańska nie jest w tak oplakany stanie jak ją przedstawiają francuzcy publicyści.

„Aby znaleźć jaką ciekawą publikację hiszpańską, dodaje pan L... potrzeba nam przepłynąć ocean i udać się do pisarzów zamorskich, *de ultra mar.* I otóż na dowód, że za morzem piszą i wydają książki, p. L. przytacza z przeglądu angielskiego wzmiankę o dramacie wydanym świeżo w Lima, stolicy Peru. Dramat ten pod tytułem *Ollanta* przełożony został z języka *Quichna*, którym mówią od wieków tubylcy peruwiańscy.

Nie będziemy tu rozbiierać owego utworu dramatycznego, w którym pan Leger widzi białego kruka, a któremu tak wielkie przyznaje zalety, że jak mówi, mógłby wywołać oklaski i gdzieindziej, *nie tylko w Lima!*

Z tych słów: „*nie tylko w Lima*” możnaby wnosić, że Ameryka południowa daleko została za Europą w literaturze i cywilizacji. Mylny to sąd! — mieszkańcy Ameryki południowej, którzy jak wiadomo wydali tak wielu mężów stanu i słynnych wodzów, wydali nie mniejszą liczbę znakomych matematyków, historyków, mówców i uczonych, w rozmaitych gałęziach wiedzy ludzkiej. Dość tu przypomnieć świadectwo Humboldta, który tak chlubnie wspomina imiona tamtejszych botaników i badaczy przyrody.

Literatura i poezya szczególniej kwitnie na tej bogatej ziemi, której brzegi, jak mówi poeta Lozano, „bogini morza przystroiła w konchy i korale, opasała wstęgą utkana z pereł i rubinów; na tej ziemi, ojczyźnie snów i marzeń, nad którą mieszkania zawiesiły w górze wróżki, sylfidy i skrzydlate serafy”.

Wiadomo, że od r. 1810, Ameryka południowa odłączyła się od Hiszpanii. Długo jednak potem trwały wewnętrzne walki. We wszystkich osobnych republikach ścierały się z sobą dwa stronnictwa: Unitaryuszów i Federalistów. Podczas tych zapasów, rzecz dziwna, literatura i poezya przychodziły do coraz wyższego rozkwitu.

W Wenezuela już od r. 1823 zasłynął poeta Bello, po nim wystąpił Lozano: znany jego pełną zapału ode do Napoleona. Tamże Buratt. wyśpiewał poemat liryczny, niemniej piękny na cześć Krzysztofa Kolumba. W Argentynie dał się poznać poeta

Marmol, cudnemi *pieśniami pielgrzyma*. Czytaliśmy wyborną jego powieść historyczną „*Amalia*”. Tu odmalował żywo i wiernie wstrząśnienia kraju swego, w których brał czynny udział. Mitre mąż stanu i publicysta, dowódzca wojsk, minister wojny, zasłynął w literaturze jako znakomity historyk i poeta. Ten nowy Tyrteusz, w przepysznój pieśni wyrzuca ziomkom upadek ducha; jest to rodzaj marsylianki Argentyńskiej. W nowój Grenadzie występuje Arboledo około roku 1840. Z utworów jego znamy: *Estoy en la Carcel*, prześliczny poemat liryczny o pięciuset wierszach. Obeszerny jego poemat: *Gonzalo de Oyón*, należy do najznakomitszych epopei dzisiejszych. W Hawannie z pośród grona innych poetów występuje Herredya, uroczy śpiewak liryczny. Pieśń jego do *Niagarry* zapewniła mu sławę. Obok niego na wyspie Kubie pojawia się postać kobieca: donna Avellaneda, poetka pełna wdzięku. W nowój Grenadzie zachwyca inna poetka sennora de Rendón. W Boliwii donna Gorriti daje się chlubnie poznać na polu powieściopisarstwie.

Nakoniec w owym Peru, z kąd jako osobliwość przytacza pan Leger ów dramacik, widzimy wielką postać Olmedy, uczonego poety i krytyka. Jego bohatérski poemat na cześć Boliwara: *La Victoria de Junín*, napisany zaraz po zwycięstwie w roku 1826, żyje dotąd w pamięci wszystkich mieszkańców Peru. Znany tu Olmeda jako tłumacz Horacego, Popego i innych klasyków. Liryczne pieśni pełne niezrównanego wdzięku i prawdziwie poetycznego natchnienia. Godziło się niedopatrzyć takiego słońca w literaturze peruwiańskiej temu, kto dopatrzył małą planetkę i to przez lunetę angielską!

I nie sam Olmeda świeci na peruwiańskim widnokręgu. W około tego słońca widzimy całą plejadę poetów. Z pośród tych najjaśniejszych: Espinoza, Ulloa, Palma, Cassillo, Llona, Marquez, Althaus, Sisneros, Corpancho. Ten ostatni wystąpił chlubiście na polu dramatycznym. Jego *Templaryusz* i *Poeta-krzyżowiec* przyjęte były z niesłychanym poklaskiem w owym Lima, gdzie publiczność wypieszczona uroczym dźwiękiem liry poetycznej, nie tak hojnie szafuje oklaskami. Oprócz dramatów, Corpancho napisał poemat bohaterski na cześć Magellana. Utwory poety wydane były w Paryżu w roku 1852; rzecz tém dziwniejsza, że p. Léger nic nie wie o nich.

Poprzestajemy na tém pobieźnym wspomnieniu; miło nam przy tej sposobności oznajmić czytelnikom naszym, że wkrótce obszerne sprawozdanie o literaturze południowej Ameryki dokonane zdolnym i wytrawnym piórem ukaże się w Bibliotece Warszawskiej.

Aby dać choć słabe wyobrażenie o poezyi Hiszpańsko-Amerykańskiej, przytaczamy w przekładzie dwa krótkie liryczne utwory.

WELON (z Mitre).

Zan zboża w złote wieńczy się kłosa,
Niebo się stroi w lazur bogaty,
Brzoza w powiewne stroi się kosa,
Wieńczy się liśćmi dąb rosochaty.

Mocarz koroną głowę pokrywa,
W bluszcz zdobi czoło zwycięzca młody,
Zalotna piękność tryumfu chciwa
Krasi dyamentem blask swój urody.

Koroną lodów wieńczą się góry,
Białemi piany fale kipiące,
Słońce się stroi płaszczem z purpury,
Perłami rosy trawki na łące.

Lecz znam ja piękną, pełną prostoty,
Z okiem, uroczą rzesą przyćmioném;
Ona odtrąca drogie klejnoty,
Czoło przejrzystym słoni welonem.

Gdybym był w boju, na włócznią moją
Wziąłbym ten welon, dumny jój darem:
Byłby on dla mnie tarczą i zbroją,
Wróżbą tryumfu, świętym sztandarem.

Gdybym żeglarzem pomknął na morza,
Welon u masztu zatknąłbym w górze,
Wzrokbym zatopił śmiało w przestworza;
Czemże mi groiny, wichry i burze!

Gdybym był wieszczem, lirę mą śpiewną
Pod cień téj lekkiej skryłbym zasłony;
Wietrzykby trącił w gazę powiewną
I z liry złote zbiegłyby tony.

Gdybym wędrowiec stopą zemdloną
Dobiegł oazy!.. niech mnie otoczy
Zielona palma liści koroną,
Jak ją ten rąbek słoni uroczy.

ODA DO NAPOLEONA (z Lozano).

Orle pustyni! twe gniazdo na skale
Niańczyły wichry przed obliczem słońca;
Jasny kometo, coś błysnął wspaniale
Na łonie wieków w przestrzeniach bez końca;

Ty, coś purpurę i blask twój korony
W morza bezdenne pograżył otchłanie!
Z tronu półbogów Tytanie strącony
Któż twe ostatnie przyjął pożeganie?

Nie piramidy zbudzone jak czarem,
Gdy na nich orle spoczęło twe oko,
Nie wody Nilu, co fal swych pogwarem
Twe sławne imię rozniosły szeroko;
Nie one grody, co wieżyc tysiące
W noc czarną tobie paliły na chwałę;
Któż więc? o nieba!.. moje usta drżące
Ledwie że nazwą... ocean i skałę!

Zadrzał przed tobą świat zdjęty przestraczem,
Stopom olbrzyma za ciasno na ziemi,
Twego pałacu lazurowym dachem
Widnokrąg gwiazdy potrząśnion jasnymi;
Płaszcz twój królewski z barw zorzy utkany,
Słońca promieniami zdobna twa korona,
A trumną twoją, Tytanie Sekwany!
Świętej Heleny opoka spalona.

Tyżeś mu całun rzuciła z pogardą
Królowo morza, Anglio! hańba tobie!
Gdy zwalczon olbrzym pochylił skroń hardą
I o kęs ziemi błagał cię w złyj dobie,
Tyś na daleką popchnęła go skałę
I wieko czarnój rozwarłaś mu trumny;
Duch jego będzie przez wieki tam całe
Rzucił ci w oczy kłątów straszne pioruny.

Ryk lwa nikczemną przejmował cię twogą,
Wieg w ciasną klatkę zawarłaś go szczerlnie,
I sztylet zdrady ostrzyłaś złowrogo,
Aż runął olbrzym ugodzon śmiertelnie.
W nędzném twém sercu drgnęło nowe życie
I pierś wezbrała znów technieniem swobody;
Och Albionie! na hańby twój zmycie
Czyż starczą wszystkie oceanu wody?

Francyo! tyś stokroć winniejsza niestety!
On nieśmiertelną otoczył cię chwałą,
Stoisz oparta o białe Alp grzbiety,
Bieżeć mu w pomoc wszak tobie przysłało
Po krwi, po trupach w biesiadzie szalonej;
Ty tu bezmyślna płasasz dnie i noce,
Gdy żywot jego jak wulkan wytłony
Kona tam smętnie na stromej opoce!

— Księgarnia Lewy ogłosiła pamiętniki sławnego francuzkiego kompozytora i krytyka, Hektora Berlioza. Wspaniała to publikacja z portretem artysty rytowanym na stali. Treść samego dzieła mniej przecież zadawalnia, niż wytworne jego wydanie. Jest to smutna historia osobistych wrażeń artysty. Życie jego całe było pasmem zgryzot i boleści, urojonych zapewne dla świata, bo nie opartych na powodach, które się dadzą wyrozumować, lecz aż nazbyt rzeczywistych dla tego, czyje życie zatruty i strawił.

W krótkiej przedmowie z daty 24 marca 1848 roku, tłumaczy autor cel dzieła swego i wyjaśnia, co go skłoniło do pisania tych pamiętników. Potrzebował wylać z serca palącą gorycz. Rewolucja lipcowa wypędziła go z Paryża do Londynu. Nie mógł patrzeć na przewrót społeczny, mniemał bowiem, że sztuki piękne przepadną w tym odnęcie.

Pobyt w Anglii nie ukoił wzburzonego umysłu; gdziekolwiek krok postawił, boleść szła za nim w ślady.

Berlioz nie umiał żyć, nie umiał przebaczać ludziom tych wad i słabostek, z którymi spotykamy się codziennie. Zarozumiałość, pedantyzm, próżność, zawiść i niedoręczność ludzka, doprowadzały go do rozpacz. Był to wulkan wiecznie kipiący lawą. Żył w ciągłych uniesieniach, w ciągłym szarpaniu, jakby mu osy brzęczały wciąż nad uchem. W rozmowie zapalał się bez ustanku. Kogo chwalił, wynosił go po nad gwiazdy, kogo zaś ganił, mieszał go z błotem.

Pomimo że przełamał wszelkie trudności nieodłączne od powołania artysty, że sam o własnych siłach wyrobił sobie zaszczytne stanowisko, nie mógł nigdy zapomnieć trudności, z jakimi się ubijał. Czas nie zabliznił w sercu jego żadnej rany, nie zatart w pamięci żadnego bolesnego wrażenia.

Opowiada on w pamiętnikach twarde zapory, jakie napotykał krok za krokiem, opowiada, jak walczył, aby przybyć do Paryża, jak walczył z głodem i nędzą, aby pozostać w owym ognisku światła, jak walczył, komponując pierwsze utwory, jak walczył o miejsce u stołu w Bibliotece Konserwatorium, jak walczył, nim otrzymał posadę chórzysty w jednym z podrzędnych teatrów za pięćdziesiąt franków na miesiąc, jak walczył o pierwszy swój koncert, o nagrodę rzymską, o miejsce w orkiestrze opery, o krzesło w instytucie. Walka była jego żywiołem. Niezmordowany szermierz spędził życie w zapasach i skonał na wyłomie.

Z tych wszystkich walk Berlioz wyszedł zwycięzko; ale przetrwane próby, których nigdy zapomnieć nie umiał, zatrwały mu słodycz tryumfu. Jeżeli walki uwieńczone zwycięstwem tak mu gorzko tkwiły w pamięci, o ileż dotkliwiej czuł te, z których nie zdołał się podźwignąć? Łatwo sobie wyobrazić, co cierpił, gdy opera jego *Benvenuto Cellini* upadła po pierwszym przedstawieniu, gdy tenże sam los spotkał *Trojan* i *Beatrycę*. O ile jednak nie-szczęśliwym był w dramacie, o tyle okazywał się mistrzem w sym-

fonii. To też dzień otwarcia wystawy paryżkiej 1 sierpnia 1854 roku prawdziwym był jego tryumfem.

Pamiętniki Berlioza pisane w sposób żywy i zajmujący. Są tam niekiedy i połycki wesołego humoru, gdy opisuje wycieczki swoje do Włoch, a szczególnie do Niemiec, gdzie na dworach książąt dyletantów znajdował wspaniałą gościnność i uznanie.

W Paryżu tymczasem czuł się zawsze jak na torturach, stał jak po ciernisku. Wygórowana miłość własna narażała go na tysiączne męczarnie. Gdy zmuszony był wykonać jakąś zmianę w partycyi, obciąć jakiś zbyt długi ustęp, cierpiał jakby mu nogę amputowano. Wkoło siebie widział tylko katów i prześladowców. Prawem odwetu w odcinku *Debatów* ranił do żywego miłość własną drugich, przez co tym większą ściągał na siebie niechęć.

Co było powodem tej wewnętrznej gorączki, która trawiła życie Berlioza, mimo tylu zaszczytów, jakimi go obsypywano? Słuszną uwagę czyni w tym względzie Achard, sumienny krytyk pamiętników.

„Geniusz, mówi on, jak orzeł uwięziony w ciasnej klatce trzepotał skrzydłami w piersi artysty, z której daremnie wybiedz usiłował. Berlioz czuł go w głębi duszy, cierpiał więc, bo nie miał siły wyrzucić z siebie płomieniem iskry, która go pożerała. Myślą, pojęciem, prześcigał on sam siebie. Widział przed sobą promienne wyżyny, a nie mógł ich osiągnąć. Tesknił do ideału, i owa tęsknota stała się prawdziwą chorobą. Dlatego to wśród blasku życia paryżkiego, wyglądał jakby widmo grobowe!”

W ostatnich słowach pamiętników wylał artysta wszystkie jady z głębi zbolełego serca. „Skończyłem, mówi, lat sześćdziesiąt, nie mam już ani nadziei, ani złudzeń, ani rozległych na przyszłość poglądów. Wzgarda, z jaką patrzę na głupstwo i nienuczliwość ludzką, nienawiść, jaką czuję do ludzi za bezecne ich okrucieństwo, dobiegły już do kresu. Co godzina wyzywam śmierć, co chwila wołam na nią: „Chodź, jam już gotów, i czemuż się ociągasz?”

Bolesne to słowa, tém boleśnieszsze iż niesłuszne. Bo i zkadźże ta nienawiść do społeczeństwa, które umiało uznać zasługi i nagrodzić prace artysty? Berlioz wszystko otrzymał, do czego zdobył prawo. Był przecież kawalerem legii honorowej, bibliotekarzem konserwatorium, członkiem instytutu.

Uczczony za życia, uczczonym był jeszcze i po śmierci. W rocznicę skonu w d. 22 marca r. b. artyści paryżcy wyprawili na cześć jego wielki festival. Tysiąc dwieście osób brało udział w tym olbrzymim koncercie. Wystąpili w nim pierwsi koryfeusze sztuki muzycznej: Faure, Villaret; panie Carvallo i Nilson. Wykonano najcenniejsze dzieła kompozytora, przeplatane arcydziełami Glücka i Bethowena, których on w szczególny oceniał sposób. Dochód z tego koncertu przeznaczony na grobowy pomnik artysty. Rzecz dziwna, że Berlioz, który tak nienawidził ludzi, jak się z tém sam przechwala, zdobył się jednak na uczucie stałej i prawdziwej przyjaźni. Kochał on gorąco poetę Barbiera, o którego przyjęciu

do akademii, mówiliśmy niedawno. Autor Yambów napisał mu libretto do opery *Benvenuto Cellini*, która nie przypadła do smaku Paryżanom. Obaj przyjaciele zarówno skłóceni ze światem, w pesymistycznym poglądzie na społeczeństwo znaleźli ogniwo jednoczące ich serca i umysły.

W sprawozdaniu z paryżkiej wystawy sztuk pięknych, nie powiedziano o akwarellach, rysunkach i budownictwie. Rzucimy stów kilka w tym przedmiocie.

W akwarellach daje się widzieć rzeczywisty postęp. Zdaje się że prześliczne utwory angielskie, jakie podziwialiśmy na wystawie międzynarodowej, pobudziły Francuzów do współzawodnictwa na tém polu.

P. Vibert, który wykonał obraz Guliwera olejno, trzyma dziś pierwszeństwo między akwarellistami. *Wnętrze kawiarni* i *Serenada hiszpańska*, dwa śliczne obrazki wykonane jego pędzlem, są śmiało rzec można, malenkimi arcydziełami w swoim rodzaju. Artysta przeszedł w nich może tak zachwalonego Guliwera, któremu zawdzięcza swój medal.

Do znakomitych utworów w tym rodzaju należy niemniej *Trybunał rewolucyjny* p. Belcour. Scena to z r. 1793, schwycona wiernie z życia ówczesnego.

Wiele też widać ładnych pejzażyków wykonanych akwarellą. P. Guinon przedstawił piękne równiny Prowancyi, oświecone ciepłym promieniem południowego słońca:—p. Porcher malownicze kanały weneckie;—p. Herson południowe brzegi Manszy;—p. Harpigne na tle włoskiego nieba ruiny Castel-Gandolfo.

W pastelach nie znać takiego postępu jak w akwarelli. Tu odznaczają się dwie prace kobiet: piękny portret młodej panienki wykonany przez Ewę Gonzales, i inny portret utworu pani Hede, w którym szczególniej draperye oddane po mistrzowsku.

Rysunków zliczyłby nawet niepodobna. Widzimy je wykonane na rozmaity sposób: ołówkiem, piórem, wiszorem, kredą czarną, czerwoną a nawet i knotem od świecy. Pejzaż p. Verreaux odrobiony knotem, jak świadczy napis umieszczony u dołu, zwraca powszechną uwagę.

Odnaczają się także miękkim i delikatnym wykończeniem pejzaże wiskorskie pp. Apian i Lalanne.

Pomiędzy zwykłemi rysunkami ołówkiem, trzymają pierwszeństwo dwa obrazki p. Bida: *Święty Paweł nauczający w Atenach* i *Wieczera Pańska*. Ostatni z nich prześliczny. Chrystus stoi wpośrodku, łamie chleb; promienie wytryskujące z Boskiego oblicza, oświecają stół i obecnych. Rzuty światła prawdziwie Rembrandtowskie!

Z pomiędzy drzeworytników pięciu otrzymało medale: pp. Lepic, Laplante, Dubouchet, Valtner i Rajon. Znać, że dyrekcyja

stara się podnieść tego rodzaju prace, które dziś stały się niezbędnym prawie dopełnieniem literackich publikacyj. Niezmiernie żałujemy, że utalentowani drzeworytnicy warszawscy nie przystali tu swoich wyrobów. Mamy przekonanie, że znakomite ich prace zwróciłyby uwagę sędziów francuzkich; kto wie, czyby nie otrzymali pierwszeństwa. Znaczący, którzy oglądali u nas drzeworyty p. Styfięgo w Kłosach, nie mogli się dosyć wydziwić ich prawdziwie artystycznemu wykonaniu.

Najmniej zwracała na siebie uwagę publiczności wystawa architektury. Bo też i architektura nie może się jakoś dźwignąć z upadku. Brak tu wyraźnie twórczego ducha. Jedni naśladowali gotycyzm, drudzy czasy odrodzenia; nikt nie snuje myśli z własnych pobudek.

Zwraca uwagę projekt monumentu poświęconego pamięci Ży-rondistów, utworu p. Guadet; nagrodzony medalem. Składają pomnik nagrobki ustawione w półkole. W środku wznosi się jakby świeżo opuszczona trybuna, z której brzmiało słowo Rolanda i innych ofiar konwencyi. Pomnik ten ma ozdobić główny plac miasta Bordeaux.

Piękny też projekt ratusza wykonany na konkurs wiedeński przez p. Baudry budowniczego francuzkiego. Względem miejscowe skłoniły Austriaków, że przyjęli inny plan wykonany przez Niemca.

P. Maurycy Richard, nowy minister nowego ministerium *literatury, nauk i sztuk pięknych*, zamknął uroczyste wystawę mową, wyrzeczoną przy rozdaniu nagród. Mowa ta prosta, wolna od pedantyzmu, podobała się ogólnie z lekkiej, prawdziwie artystycznej formy i z patryotycznego nastroju.

„Uważam się jedynie—rzekł—jako poseł cesarstwa przy rzeczypospolitej nauk i sztuk pięknych.”

Słowa te, miłe sprawiły wrażenie.

Odrzuca on stanowczo zarzuty pesymistów, oplakujących upadek sztuki, w wielkiem klasycznym znaczeniu tego słowa.

„Popęd, jaki widzimy do utworów rodzajowych, mówił minister, wcale mnie nie ustrasza; można je bowiem podnieść do godności wielkiego artysty. Wszak przyjmujemy w poezyi Syrakuzanki odmalowane piórem Teokryta, czemużbyśmy nie mieli przyjąć w malarstwie Paryżanek, z warunkiem, że ich Idyllę opowie nam pędzlem jaki nowy Teokryt?”

„Nie wiem, czy porównując utwory dzisiejsze do arcydzieł wielkiej epoki, można wyrzec słowo *upadek*; ale jestem przekonany i mówię to z dumą narodową że żaden kraj, nie byłby dziś w stanie wystąpić z czemkolwiek, co by można porównać z tak zwanym *upadkiem* francuzkim!”

W liczbie siedemnastu artystów nagrodzonych krzyżem legii honorowej, był jak wiadomo nasz Matejko. Krzyż przeznaczony sławnemu pejzażyście Courbetowi, spowodował wiele hałasu. Ten

nieprześlągnięty wróg cesarstwa, odrzucił z ostentacją, ofiarowaną mu nagrodę. Ogłosił przytém po dziennikach list swój pisany do ministra. Ciekawy to dokument, określa bowiem niepodległe stanowisko, jakie według Courbета sztuka powinna zająć w życiu dziejowém narodów, jeśli ma odpowiedzieć potrzebom dzisiejszym. Warunki, jakie podaje, nie zdają nam się praktyczne. „Pragnę—mówi on—aby po mojej śmierci powiedziano: żem nie należał do żadnej szkoły, nie uznawał żadnego rządu, żadnego kościoła; słowem że byłem wolny!” Pytamy, czy tak bezwarunkowe wyłamanie się z wszelkich praw wiążących społeczeństwo, możliwém jest na świecie?

Nie pierwszy to raz pan Courbet manifestuje swoją niepodległość. Przed trzema laty podczas wielkiej wystawy, nie chcąc się poddać pod prawa administracyi, wybudował sam barak na pomieszczenie swych obrazów; wybudował go przecież w bliskości Pola Marsowego, pod cieniem pałacu wystawy.

Przy nadzwyczajném rozbudzeniu umysłów francuzkich, każdy wypadek staje się dziś powodem do odczytów i konferencyj. Nic téż dziwnego, że wystawa obrazów nie mogła przejść obojętnie. Jakoż w kilka tygodni po jej otwarciu urządziło się towarzystwo zaimprovizowanych professorów, którzy w kilku pogadankach starali się dać poznać i ocenić słuchaczom najcenniejsze utwory pędzla i dłuta, wystawione w pałacu przemysłowym.

Sala przeznaczona na te pogadanki odpowiadała wybornie celowi swemu; ściany bowiem pokryte obrazami, otaczały tak mówców jak i słuchaczy, jakby artystyczną atmosferą, i usposabiały tém lepij, pierwszych do mówienia, drugich do słuchania o sztuce.

Byliśmy na jednej z tych konferencyj. Przemawiał tego dnia p. Feyrret, mówca pełen werwy i prawdziwie paryżkiego dowcipu. W poprzednich konferencyjach rozebrano wszystkie ważniejsze dzieła, pozostało już tylko scharakteryzować publiczność zwiedzającą wystawę. P. F. wybornie wywiązał się z tego zadania.

„Niegdyś przed laty, mówił, publiczność zajmująca się sztuką, tworzyła małą, lecz wyborową garstkę. Byli to wielcy panowie, wielkie panie, oprowadzani zwykle po salonie przez protegowanych artystów, którzy roztrząsali wobec nich zalety i wady każdego utworu i stanowcze wydawali wyroki. Obecnie wszystko się zdemokratyzowało, więc i publiczność musiała zmienić się do gruntu. Ową publiczność składa dziś i frak i bluza, i atlas i płóciuszko, i mundur a czasem i sutanna; słowem, wszystko, co żyje: tłum!... Ta publiczność nie uczy się sądu od artystów, jak to czyniła dawna, ale sama śmiało i samodzielnie wyrokuje o wszystkiém.

Rzecz niepojęta, mówi pan F., a jednak prawdziwa, że artyści lękają się owych dorywczych i niewytarwnych sądów, że wszelką

siłą starają się pozyskać sobie, przekupić niejako tę publiczność tak zuchwale wyrokującą!"

Chcąc zatem poznać do gruntu, o ile obawa artystów uzasadniona, pan Feyrret wziął sobie za osobny przedmiot studyów tę wielmożną, straszną i wszechwładną potęgę, pragnął schwytać ją niejako na gorącym uczynku, podsłuchać jej zdania, słowem przekonać się co warte owe dorywcze wyroki wydawane bez podstawy, bez prawa. I oto rezultat jego badań:

"Naturaliści, mówi on, dzielą istoty w przyrodzie, na gromady, rodzaje, gatunki, odmiany i t. p. Otóż i publiczność wypada rozgatunkować w taki sposób, chcąc ją wziąć pod rozbiór i ocenienie.

Zwiedzających wystawy należy więc podzielić na trzy gromady, stanowczo odrębne od siebie: na *obojętnych*, na *niewinnych* i na *pseudo-znawców*.

Zobaczmy najprzód gromadę *obojętnych*.

Ci idą na wystawę tak sobie, bo drudzy na nią byli, bo trzeba zabić parę godzin niedzielných, bo oto niebo się zachmurzyło, będzie deszcz, miejsca w omnibusie nie znajdzie; gdzież się tu schronić powracając z Pól Elizejskich? Weszli więc na wystawę. Tłoczą się tam, gdzie najwięcej ludzi, stawają, gdzie drudzy stanęli. Musi tam być coś ciekawego! ale co? nikt nie wie i nie stara się zbadać. I wychodzą jak przyśli, bez wrażeń, z pomieszaniem chaotycznym w głowie, unosząc ledwie jakieś zagmatwane wspomnienia. Taką jest wielka większość.

Daléj idzie gromada *niewinnych*. A i ta bardzo liczna. Dla nich artysta nie istnieje! Obraz może być arcydziełem albo lichotą, na jedno to wychodzi: wszystkiém dla nich sam przedmiot. Gdyby przynajmniej ocenili wybór przedmiotu! ale nikt o tém ani myśli... Chcą wiedzieć, co obraz przedstawia: oto cel zwiedzania wystawy.

Dla téj kategorii niezbędnym jest katalog, to téż nie wypuszczają go z ręki. Chodząc od obrazu do obrazu, czytają, sprawdzają każdy szczegóły, a jak dojdą, że tak wszystko jest na obrazie, co zapisano w książce, to i dobrze, odchodzą zadowoleni.

Trafia się tu czasem jakieś naiwne zdanie o obrazie. „Mamo! jakie owoce, woła panienka, aż pachną! jakbym je chętnie zjadł!” „Patrz jakie tłuste bydło! mówi mąż do żony, zapewne rzeźnik, zarazbym je kupił, gdybym znalazł takie na targu!”

Z obrazów największą uwagę *niewinnych* zwraca na siebie Ameryka Ywona. „Pyszny obraz! bogaty obraz! wspaniała rama! powtarzają jedni do drugich. I rodzina stawia rzędem przed Ameryką. Daléj do katalogu. „Patrz mężu! to Ameryka, ta kobieta w czerwonej czapeczce, a to wolność, a to murzyn wyzwolony, a to złe namiętności spadają w otchłani istnie jak gruszki z drzewa, a tu to, a tu owo, wszystko co do joty tak jak w książce, czytaj mężu, zobaczysz sam; wyborny, doskonały obraz!

Przy skomplikowanym obrazie Ywona, można jeszcze pojąć potrzebę katalogu; ale są inne, zupełnie proste, jednak i tu katalog niezbędny. Gryzетка gotuje jaja: obraz sam się tłumaczy; nic to nie pomaga, trzeba wyczytać w książce, że to przygotowanie do śniadania. Pani kładzie pończochy: dalej do książki „Ha, to ubierająca się kobieta!” Między innymi widzieć można i takich zwolenników katalogu, co stanawszy przed obrazem, spojrzą tylko na numer, otworzą książkę, odczytają wyjaśnienie i przechodzą dalej, nie rzuciwszy okiem na płótno.

Niektórzy jednak śmielsi puszczają się na przegląd bez katalogu, lecz jedynie w celu zbadania przedmiotów. „Otóż ja wiem, co przedstawia ten obraz, mówi żona do męża, poznałam rzecz odrazu. Scena z Żyda Tułacza! Oto panna Cardowille, a to indyjski książę Dżalma!” Obraz był Kabanela, przedstawiał *Franceskę z Rimini*. Na innym leży człowiek umarły, w około niego zakonnicy. „Patrz kochanko, to pogrzeb Chrystusa!” mówi mąż. „Tak, nie inaczej, potakuje żona; znać to po zakonnikach!”

Jakże sądzi gromada trzecia *pseudo-znawców*? „Ci, mówi pan F., szukają przedewszystkiem materyjalnej prawdy w naśladowaniu. Jest to obraz przedstawiający Graziellę, nie dosyć może włoski, ale nie bez istotnych zalet. Dziewczyna siedzi na skale, pogląda w przestrzeń morza, „on popłynął! zdaje się mówić, i łza toczy się po jej licu.” W tej postaci odbija cały dramat. Ale nasi znawcy widzą tylko łzę i nic więcej. „Patrz oto na tę łzę!... ach jaka łza! jaka łza! wyborny, doskonały obraz!” Słyszałem na własne uszy te uniesienia nad łzą Grazielli. Szczęściem, że malarz ich nie słyszał; wściekłyby się ze złości i z rozpacz. Dalej znawcy nasi oglądają obraz przedstawiający pracownię malarza. „Jakiż tu nieład! mówi matka, zawołana jak widać gospodyni, pokój nie sprzątnięty od kilku dni, sprzęty porozrzucane, aż strach!” I obraz oceniony. Zatrzymują się wreszcie przed Salomé Raignault’a. „Jakaż rozczochna! kto tak układa włosy? jakby tylko co z łóżka wstała!”

Takie to sądy przytacza mówca, dla uspokojenia bojaźliwych i zbyt cheiowych popularności artystów. Powinnyż ich, pyta, zastraszać podobne wyroki? Tu dodaje trafną uwagę psychologiczną: „Wszak znamy w ogólności, że nagana nieuka może się stać pochwałą, jak przeciwnie jego pochwała najwyższem jest potępieniem. Każdy tak mówi i myśli, dopóki rzecz nie dotyczy go osobiście. Jest przecież coś w naturze ludzkiej, co nie pozwala stosować do własnej osoby ogólnych teoryj. Wiemy, jaką ma wartość sąd nieuka, a jednak kiedy pochwali coś naszego, mówimy sobie w duchu: „nie tak on bardzo głupi” i pysznimy się tą nawet pochwałą, która krzywdzi nas rzeczywiście.”

Ta część konferencyi, wypowiedziana w żartobliwy sposób, z tym gestem, z tym akcentem, którym Francuzi umieją ożywić każdy wyraz, rozśmieszyła słuchaczy. Nie jednemu z obecnych przyszły na myśl figury spotykane co krok na wystawie, sfotogra-

fowane żywcem z natury. I nam też przypomniła się para należąca do gromady *niewinnych* według podziału p. Féyrret. „Żono co to jest?” zapytał mąż rzuciwszy okiem na obraz Mateyki. „Żona otworzyła katalog, odczytała zbyt krótkie słowa określające przedmiot, którego znaczenia wcale nie zrozumiała. „Mnie się to nie podoba!” rzekła z miną pogardliwą. „Ani mnie także!” przywót-rzył mąż, i odeszli dalej. I cóż było powodem tak stanowczego potępienia? oto katalog, który nie objaśniał dokładnie rzeczy.

W drugiej części konferencji, mówca zastanawia się poważnie nad przyczyną takiej obojętności dla sztuki pięknych, w narodzie tak oświeconym jak Francja.

„Powiedzmy sobie prawdę w oczy, mówi pan F., mamy tę wielką wadę, że uważamy siebie za naród wyższy nad inne, najrozumniejszy, nieporównany, i dlatego spotyka nas tyle zawodów, tyle rozczarowań, tyle krytyk, od obcych. Miejmy więc odwagę osądzić się sami, bez pychy, z sumienną bezstronnością, i powiedzić sobie wręcz gorzką prawdę, a zamknijmy usta obcym krytykom.

„Naród nasz, mówi dalej, otrzymał od natury mało zmysłu artystycznego, słabe poczucie piękna. Brak ten dzielają z nami nie jedne narody; nie my sami tak jesteśmy upośledzeni. Nie potrzeba szukać daleko, ale też nie wypada nikogo wytykać po imieniu, bo i po cóż martwić sąsiadów? (Mowa tu naturalnie o Anglikach).

„Są i u nas znawcy, którzy oceniają sztukę w całym znaczeniu słowa. Snadno takich rozróżnić wpośród tłumów zwiedzających wystawę. Dość zaprawdę rzucić okiem na twarz ich rozpromienioną w obec znakomitego utworu, aby odgadnąć w nich prawdziwych miłośników sztuki. Ale ta garstka wybrana, tak mały stanowi wyjątek, że ogółowi narodu śmiało zarzucimy zupełny brak zmysłu artystycznego. Dlaczego Włochy, tak uprzywilejowane w poczucie piękna? dlaczego tam, lada prostaczek z kądem ciemny, lepiej oceni arcydzieło, niż u nas oświecona warstwa ludności? Bo tam lud wzrasta i żyje w ciągłym zetknięciu się ze sztuką. Tam gdzie rzucisz okiem po placach i ogrodach publicznych, pełno arcydzieł rzeźby, pędzla i architektury. Ztąd to sam lud bezwiednie, w skutek ciągłego zapastrywania się na idealne wzory, przybiera gesta i ruchy malownicze, postawę posagową.”

Tu mówca opowiada z wzruszeniem, jaki urok owładnął nim, gdy po raz pierwszy z dwoma towarzyszami podróży ujrzał się na placu S. Marka w Wenecyi, jak w mgnieniu oka, niby za tknięciem różeczki czarnoksiężki, otworzył się przed nim świat cudów, świat ideału, dotąd mu bynajmniej nieznany. Z własnego doświadczenia przychodzi więc do wniosku, że poczucie piękna rozwinie się kiedyś w narodzie francuzkim, jak się rozwinęło w jednostkach.

„Pierwszy krok, postawiony już na tej drodze, mówi pan F. i podaje ciekawą statystykę szkół rysunku dla robotników. Nieda-

wno było ich w Paryżu tylko sześć, dziś liczba ich doszła do sześćdziesięciu, na każdą w przecięciu wypada trzysta dwudziestu uczniów."

W końcu konferencji mówca podnosi pytanie, czy dzisiejszy kierunek demokratyczny we Francji, nie sprzeciwia się rozwojowi sztuk pięknych? Często, mówi, spotykam się z zarzutem, ogólnie dziś upowszechnionym, jakoby idea demokratyczna, nie korzystną była dla sztuki. Że zaś Francja nie może się cofnąć z drogi demokratycznej, ztąd wypada jej pożegnać się ze sztuką. Smutno byłoby zaprawdę, okupić nasz rozwój społeczny, wyrzeczeniem się ideału piękna! Szczęściem, że głoszony sofizm nie oparty na niczym.

"I czemuż jest, mówi, demokracja, w dzisiejszym jej pojęciu? Jużciż nie powrotem do grubiaństwa, do ciemnoty ograniczającej dotąd niższe warstwy narodu naszego! Przeciwnie sprowadzeniem światła i wiedzy z wyżyn, gdzie dotąd przyświecały, na dno najniższych pokładów społecznych. Alboż to oświata i nauka w sprzeczności są z pięknem, z ideałem? przeciwnie, one budzą umysł z uśpienia, podnoszą go coraz wyżej a wyżej! Demokracja zatem nie jest tamą dla sztuki, ale raczej dźwignią wszechstronnego postępu. Jeśli rozprowadzając światło na cały naród, z jednej strony podnosi pojęcia w dziedzinie moralności, to z drugiej strony, musi również usposobić ogół do poczucia piękności artystycznej".

Przed areopagiem uczonych europejskich wytoczyła się sprawa o plagiat. Obwinionym tu kto? sam Szyller! Szyller plagiator! na ten okrzyk oburzyli się nie tylko Niemcy, lecz i wszyscy uczeni szczepu germańskiego. Sprawa ta nie byłaby jeszcze tak głośną, gdyby się nie wdał do niej znakomity lingwista Max Müller, professor Uniwersytetu Oxfordzkiego. Onto powagą swoją, nie tylko że rozgłosił rzecz samą, ale rozszerzył jej znaczenie podnosząc ciekawe pytania psychiczne.

Doktor Liebrecht uczony erudyta niemiecki, w pisemku swoim *Zu Schillers Braut von Messine*, z roku 1869, powiada, że Szyller wziął żywcem do powyższego dramatu, nie tylko główny pomysł i prowadzenie rzeczy, ale co więcej myśli, wyrażenia, a nawet całe wiersze, z tragedji Lëgouwego p. t. *Śmierć Abła*. Mowa tu o starym Legouwem, poccie z końca zeszłego wieku, ojcu dzisiejszego akademika.

Krytyk niemiecki podaje treść obu utworów.

Plan Legouwego bardzo prosty. Kain nienawidzi Abła za to, że obrał łatwy zawód pasterski, gdy tymczasem on Kain, musi uprawiać ziemię w pocie czoła. Najgłówniejszym zaś powodem jego zawiści jest podejrzliwa myśl, że rodzice więcej sprzyjają Ablowi. Adam łagodzi nieco gniew Kaina. Następuje pojednanie,

ale zgoda nie potrwa długo. Bracia wznoszą ołtarze, składają ofiary. Myśl, że ofiara Abła miłą jest Bogu, doprowadza Kaina do wściekłości, czyni go bratobójcą. Drgający wyrzutem opuszcza rodzinę, usuwa się zdala od oczu ludzkich i czeka słusznnej kary.

W oblubienicy Messyński Szyllera, dwaj bracia nienawidzą się wzajem, a jakkolwiek powód ich nienawiści nie dosyć jasny, poeta daje zrozumieć, że jeden z nich Don Cezar, mniema jakoby serce matki skłaniało się bardziej ku bratu. Matka uspokaja synów; następuje pojednanie.

Wkrótce przecież nowa namiętność zapala serce Don Cezara. Kocha oblubienicę brata, zabija go w uniesieniu zazdrości. Drgający wyrzutem sumienia, Don Cezar odbiera sobie życie.

Tyle zbliżenia co do treści; weźmy teraz szczegóły na uwagę. Doktor Liebrecht zestawia razem niektóre wiersze obu autorów. Przytaczamy je za nim.

LÉGOUVÉ.

Le frère est un ami donné par la nature.

SCHILLER.

Wohl dem, dem die Natur den Bruder gab.

..... Anerschaffen

Ist ihm der Freund (1).

LÉGOUVÉ.

Serpent, dans les replis tu veux m'envelopper?

C'est pour m'assassiner que ta haine m'embrasse.

SCHILLER.

Giftvolle Schlange! Das ist deine Liebe?

Desswegen logst Du tückisch mir Versöhnung (2).

LÉGOUVÉ.

Viens pour les en instruire et leur rendre la paix,

Nous montrer embrassés à leurs yeux satisfaits.

Ah! que vois je? Mes yeux, faut-il que je vous croie?

SCHILLER.

Ich habe sie einander Herz an Herz

Umarmen sehn, ein nie erlebter Anblick (3).

(1) Szczęśliwy ten, komu natura dała brata... To przyjaciel, którego mu stworzyła.

(2) Wężu jadowity! także to twoja miłość! Dlatego to zwiodłeś mnie zasadzką pojednania.

(3) Widziałam ich ściskających się, z sercem przy sercu! Taki widok, nigdy mnie dotąd nie uradował.

LÉGOUVÉ.

Enfants chers,
 Que mes flancs ont porté, que mon sein a nourris,
 Le sang a triomphé, l'amitié vous rassemble,
 Et ces bras maternels vous reçoivent ensemble!
 Et vous vous embrassez sur ce coeur palpitant!
 Tous ses maux ont cessé dans un si doux instant,
 Je sens tomber le poid de ma douleur amère;
 Je suis donc une fois heureuse d'être mère!

SCHILLER.

Nun endlich ist mir der erswünchte Tag,
 Der lang erschnete, festliche, erschienen.
 Vereint seh' ich die Herzen meiner Kinder,
 Wie ich die Hände leicht zusammenfüge,
 Und im vertrauten Kreis zum erstenmal
 Kann sich das Herz der Mutter freudig öffnen (1).

Max Müller występuje w obronie Szyllera, a występuje tak żarliwie, jak gdyby widział całe plemię germańskie upokorzone przez Francuzów.

„Nie możemy w żaden sposób przypuścić, rzekł z katedry professor oxfordzki, nie powiemy już plagiatu, gdyż doktor Liebrecht nie posuwa rzeczy tak daleko, ale nawet bezwiednego naśladownictwa. Niechaj poeci sami osądzą tę rzecz, skoro nie wystarczy sąd krytyków. Nie ulega wątpliwości, że myśli i wyrażenia, jakie znajdujemy w przytoczonych wierszach, są prostymi komunałami, że mogą uchodzić za własność wspólną wszystkim poetom. Gdyby nawet udowodniono, że Szyller czytał tragedję Legouwego, mogły podobne wiersze tak mocno oddziaływać na jego umysł, aby miały bezwiednie odtworzyć się w pamięci genialnego mistrza? Bez silniejszych dowodów, wykazane analogie pomiędzy wierszami Szyllera i Legouwego, nie usprawiedliwiają wniosku doktora Liebrecht. Gdyby nawet stawiono nam przed oczy egzemplarz tragedji Legouwego, z własnoręcznymi notatkami Szyllera, jeszczebyśmy nie przyznali nic więcej, nad proste potrącenie myśli. Takie zewnętrzne pobudki działają na umysł każdego poety, bądź gdy czyta w swoim gabinecie, czy kiedy się przechadza po ulicy, pokarm to codzienny; wolno mu go przyjąć, lub odrzucić; może śmiało przyswoić go sobie, przetrawiwszy w swym własnym duchu. Takim zasiłkiem podtrzymać żywotność poetycznej wyobraźni; nie potrzebuje rachować się z niego przed nikim.

(1) Wschodzi wreszcie, ten dzień tak upragniony, tak długo oczekiwany, ten dzień tak uroczysty. Widzę zjednoczone serca dzieci moich, trzymam bez trudu ich ręce splecione, i po raz pierwszy, w gronie rodzinném, serce moje macierzyńskie może oddać się zupełnej radości.

„Ileżto razy malarz przebiegając galeryę, zauważył jakiś wyraz twarzy, jakąś szczególną postawę lub niezwykły rzut światła; słowem utwór nie dokładnie może oddany, w którym przecież znalazł pobudkę do genialnego pomysłu. Śmiażebym kto powiedział, że mierny utwór służył za wzór do arcydzieła? Po cóż więc przypuszczać, że arcydzieło Szyllerowskie, Oblubienica z Messyny, winno cokolwiekbaż tragedji Legouwego? Jest to wielki przywilej bogaczy, że nie znają pokusy do kradzieży. Przypuszczenie, że Szyller gdy pisał oblubienicę z Messyny, zmiatał okruchy ze stołu Legouwego, sprzeciwia się wszelkiemu prawdopodobieństwu!”

Krytycy francuzcy z większym nierównie taktem i z zimniejszą krwią, rozumują w tój sprawie; przypominają oni, że kiedy Szyller tworzył Oblubienicę z Messyny, obowiązany był wówczas z urzędu dostarczać sztuk do teatru Wejmarskiego, który pod dyrekcyą Goetego, stał się pierwszym teatrem w całych Niemczech. Napisał już Szyller dla owego teatru trzy części *Wallenstejna*, *Maryę Stuart* i *Dziewicę Orlennską*. Werwa jego wyczerpała się nagle. Rozpoczął na raz dwa dramata: *Perkiusa Warbeck* i *Kawalerów Maltańskich*, lecz żadnego z nich nie ukończył. Tymczasem trzeba było bądz co bądz czynić zadosyć wymaganiom rozpieszczonej publiczności. Drugorzędni dramaturgowie i rozwijający skrzydła romantycy, przynosili własne utwory, lecz te nie miały powodzenia. Goete bardziej jeszcze z sił wyczerpany, nie mogąc już tworzyć oryginalnie, dawał przekłady Wolterowskich tragedji: Tankreda i Machometa.

Sam Szyller zaprotestowawszy w imie genjuszu narodowego zmuszony był zarówno uciec się do przekładów. Po Mackbecie Szekspira i Fedrze Rasyna, przełożył *Turandotę* Gozego, i dwie komedye Pikarda. Łatwy ztąd wniosek, że postanowił przetłumaczyć także i tragedję francuzką, która miała w owym czasie znakomite powodzenie. Zapewne genialny poeta, szukając od dawna nowego przedmiotu, potracony ideą nienawiści bratniej, zrzekł się zamiaru tłumaczenia, a obmyślił dzieło oryginalne. Podjął więc napotkany przedmiot, i postawił go w innych warunkach, na tle innego społeczeństwa i innój miejscowości.

Najniesprawiedliwszym okazał się Max Müller, poniżając talent Légouwego. Znakomity krytyk i professor francuzki Saint Marc Girardin, wysoko postawił tego pisarza w historyi literatury dramatycznój. Z owój to tragedji: *Śmierć Abła*, przytacza on piękne ustępy, w dowód słuszności swego sądu.

Imie Légouwego znane i w naszej literaturze. Któż nie pamięta jego sławnego poematu: *Zalety kobiet*, przekładu Józefa Lipińskiego?

Silną protestacyą przeciwko niebacznym sądom o zmateryalizowaniu się Francuzów są te gorące hołdy, oddawane pamięci zmarłych, którzy się dobrze zasłużyli krajowi. Nie ma zapewne

dnia w kalendarzu, w którymby jakiś zakątek Francji nie obcho-
dził pamiątki jakiegoś dziecka swego. Tak oto 10 maja r. b. sta-
wiano w Agen pomnik na cześć sławnego Jasmina perukarza-po-
ety, w parę dni potem miasto Vienne nad Rodanem czciło w tenże
sposób Ponsarda.

Szczególna miłość łączyła od młodu tego poetę z rodzinnym
miastem. Wbrew przysłowiu, Ponsard był prorokiem między
swemi. Na każdą wieść o jego nowych laurach, serca Wieńczy-
ków uderzały radością i dumą. Każde słowo wyrzeczone przeciw-
ko niemu, było dla nich jakby osobistym pociskiem. Nic tkliv-
szego nad ten węzeł jedności, którego sama śmierć rozzerwać na-
wet nie miała.

Kiedy Ponsard napisał w Vienne swoją Lukrecyę, przyjaciele
powieźli ją sami do Paryża, a całe miasto z gorączkową niespo-
kojnością oczekiwało na wieść, jak też świat ucywilizowany oceni
utalentowanego syna Rodanu? Ilekroć Paryż przyklaskiwał po-
ecie, za nowy dramat lub komedję, tylekroć Vienne oświecało
wszystkie okna, wtedy nawet gdy Ponsard nie przebywał w jego
murach. Śmierć ulubieńca okryła żałobą całe miasto.

Taka miłość Wieńczyków, dla swego poety nadawała szcze-
gólną cechę uroczystości. Odkrycie pomnika wzniesionego star-
aniem miasta zapowiadzanem było na niedzielę (15 maja). W so-
botę wieczorem pociągi drogi żelaznej zwoziły z różnych stron
Francji, a szczególnie z Paryża, licznych przyjaciół i zwolenników
zmarłego. Redakcje gazet i uczone koła wyprawiły swoich re-
prezentantów. Akademię francuską przedstawiał Emil Augier
złączony z Ponsardem silnym węzłem przyjaźni i koleżeństwa.

O pierwszej z południa niezliczone tłumy napełniały plac
miejski. Na jednej estradzie przygrywała muzyka, na drugiej
zajęły miejsca osoby biorące czynny udział w uroczystości. Ko-
biety zapełniały obszerne krużganki i okna starożytnego ratusza.
Ku jednemu z tych okien, obracały się ze współczuciem oczy
wszystkich. Siedziała tam kobieta w żałobie, do niej tulił się
jasnowłosy chłopczyk ubrany także czarno: była to żona poety
z synem.

Przy dźwięku trąb, huku bębnów i pieśni chóralnej uchy-
lono zasłonę z pomnika. Na widok drogich rysów, z ust wszy-
stkich wybiegł okrzyk uniesienia. Niepodobna wyliczać kantat,
symfonij, pieśni, jużto śpiewanych chórem, jużto deklamowanych;
mówcy występowali po kolei. Największy tryumf zdobył w tym
dniu Emil Augier, i piękną mową i tklivym wierszem na cześć
zmarłego przyjaciela.

Nastąpiła uczta w ratuszu, a przy niej toasty i mowy. Je-
den z bliskich krewnych Ponsarda wniósł toast na cześć nieo-
becnego Juliusza Janin, który okazywał zmarłemu stałą i czynną
życzliwość. Wymowne to świadectwo znaczenia krytyki w powo-
dzeniu autora. Ale też potrzeba być takim krytykiem jak Janin,
aby tak zapanować nad umysłami.

Wieczorem artyści teatru francuzkiego, zebrani w Vienne, odegrali trzy sztuki Ponsarda: *Carolinę Corday*, *Lukrecyę*, *Horacego i Lidyę*. Zakończyła widowisko allegorya wierszem, układu młodego poety w Vienne p. Gouët. Niektóre dzienniki Paryzkie, żartowały z owęj allegoryi, jak zwykły żartować sobie ze wszystkiego; stanowisko w poezyi jakie Gouët naznacza Ponsardowi, wydawało im się przesadzone. Ale w Vienne pod wpływem ogólnego uniesienia, allegorya ta była na swoim miejscu; gorącemi tóż obsypano ją oklaskami. Powiemy o niej słów kilka.

Recz odbywa się na wyżynach parnasu. Szkoła klassyczna w tunice, w koturnach greckich, nagle zbudzona ze snu, słyszy daleką wrzawę. Słowa zniewagi dobiegają do niej. W oburzeniu i rozpacz ywzywa poetów i prozaików, aby podtrzymali tron jej, dopóki nie powali się w gruzy.

Tu pojawia się szkoła romantyczna przystrojona fantastycznie. W żywym dyalogu następują wzajemne wyrzuty.

„Czemuż zasnąłś! mówi szyderczo nowo przybyła, należało czuwać! Orzeł, któremu spętałaś skrzydła, rozkuł się z więzów i uleciał w obłoki. Niedościągnąć go tobie!

Zbyt długo cię niesłuszną świat otaczał sławą!

Szkoła klassyczna.

Mnie służy prawo bogów!

Szkoła romantyczna.

Mnie podboju prawo!

Ty wątpisz! powiedz tylko oczyma na strony,
Minęły już te czasy, gdy świat ukorzony
Czekał twego skinienia. Dziś teatr twój pusty,
W moim ludno i gwarno, istnie jak w zapusty.
Widokiem nowych wieńców ja co dnia wzrok pieścę,
Iluż z tych hołdowników zostało ci jeszcze?
Jakiś zacięty pedant, lub starzec uparty,
Reszta pierzchła spłoszona szyderczyni żarty,
Czczę dziś, tylko wspomnieniem twa wielkość przeżyta,
Twoje słońce już zaszło, dla mnie zorza świta,
Daremne twe przekleństwa, iskargi nie w czasie;
Ty ustąp, mnie przysłało miejsce na parnasie!

Szkoła klassyczna.

Ja ustąpić mam tobie, co bez czci i wiary
Depcesz odwieczne prawa, obalasz ład stary,
Któraś sztukę zalała swawoli odmętem,
Troistą jedność grecką zburzyła ze szczeniem.
Tobie, co dla igraszki, bez słusznój przyczyny
Łamiesz dawną Cezurę, coś Alexandryny
Posiekała na miazgę, co z piękna zniewagą
Twym czcicielom przed oczy rzucasz prawdę nagą.
Tobie, dla której hasłem cynizm i brzydota,

Co rada bohaterów twych dobywasz z błota,
 Tobie, co się w swawoli ważysz wyuzdaną
 U stóp tronu roztrzasać żebracze łachmany,
 I gwałcąc Boże prawo płynące nam z góry,
 Zszywasz płaszcz arlekina z monarszej purpury.

Szkola romantyczna.

Świat chce prawdy—więc słuszną ku tobie odraza.
 W cóżes ty szlachetnego zmieniła Pegaza?
 Próżno rwie się do lotu rumak ujarzmiony,
 Przybrałaś go w koronki, w wstęgi i galony,
 Wprzężon w rzędy złociste, z utrefioną grzywą
 Spuścił głowę, i piersią tchnie ledwie pół-żywą.
 Gdyś zuchwale mu z karku zdarła te wędzidła,
 Zerwał się błyskawicą i rozpostarł skrzydła;
 Zarżał, nozdrza płomieunym buchnęły mu żarem.
 Czy widzisz, jak z kopyta mknie jasnym obszarem,
 Jak iskry krzesze z ziemi żelazną podkową;
 Rozkiełznany przezemnie pędzi drogą nową,
 On rumak wiatronogi w te światy bez końca,
 Gdzie nie brak mu przestrzeni, powietrza i słońca!

Walka wre z wzmagającym się z obu stron zapalem. Nagle pojawia się młodzieniec. To Ponsard! Kto jesteś?—pytają obie.... Imię moje nieznane, rzecze młodzian.... Jam nowy przybysz na wyżyny Parnasu!.. Pragnę być poetą... walczę.. szukam drogi!.. Ufam, że mi sił nie zabraknie!

Obie szkoły ciągną poetę. Jedna i druga wysławia swoje tryumfy. Szkoła klasyczna wylicza geniusze, jakie wydała w paśmie wieków. Romantyczna wskazuje przyszłość. Ponsard waha się chwilę. „Panie! daj mi natchnienie!”—woła z wiarą, i oto natchnienie przychodzi. Jednym uściskiem łączy dłonie obu zaciełych zapasniczek.

—„Połączcie się we mnie—zawoła. Ty poważna mistrzyni wieków, daj mi podniosłą myśl twoją i nieskażony urok słowa! Ty piękna czarodziejko, daj mi płomień młodzieńczego zapалу i tę niepokonaną siłę, którą kruszysz twarde zapory. Złączcie się obie we mnie! Ja położę podwaliny szkoły nowój, i wieki jej nie zmoją. Nazwę ją szkołą zdrowego rozsądku!

W téj hiperbolicznej pochwie jest przecież wiele prawdy. Ponsard należy do tych nowoczesnych eklektyków w poezji, którzy powstrzymali rozhukany prąd romantyzmu i ujęli go w karby; stary zaś klasycyzm odarty z pleśni wieków, ożywił tchnieniem młodzieńczej piersi. Ten właśnie eklektyzm charakteryzuje terazniejszą pozytywną szkołę francuską. Lotny pegaz swobodniejszy pod jedwabnym wędzidłem eklektyków dzisiejszych, niż dawniej pod żelaznym jarzmem klasyków, orze zagon, zaprzężony do pług.

